

Rejent Wątróbka



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Rejent Wątróbka

Kto miał szczęście znać rejenta Wątróbkę, ten go nigdy nie zapomni, ale trzeba było wiedzieć szczegółowo główne przynajmniej wypadki jego życia, aby tego poczciwego oryginała ocenić.

Naprzód co do jego nieszczęśliwego nazwiska, z którego był dumny, musimy objaśnić, że Wątróbków jest stary ród szlachecki, *prosapia*¹ niepoślednia; zrazu jednak wygląda to na przezwisko, na fałszywą woń i pozór plebejuszowski. Tymczasem *ekscerpt*² z drzewa genealogicznego Wątróbków, wykazujący biskupów, opatów i kasztelanów w XIV wieku, poczciwy rejent Wątróbka nosił zawsze w kieszeni.

Ogromny spis wszystkich dóbr, które Wątróbkowie posiadali, z nadzwyczajną dokładnością dokonany, nie przeszkadzał temu, że zdawna byli oni podupadli, zubożali, a rejent nie mógł się nazwać posesyonatem.

Postać i fizys jego nie były już wcale arystokratyczne, z wyjątkiem jednej cechy: miał bardzo małe ręce, choć nieładne, bo o to się nie starał. Na krwawniku rznęty sygnet ojcowski, aby mógł nosić i klejnotu tego nie gubić, zmuszonym został jedwabną nitką obmotać obrączkę. Jakiej barwy potem była ta nić, wątpię, ażeby ktokolwiek oznaczyć potrafił.

W drugim dziesiątku tego wieku po raz w życiu pierwszy miałem przyjemność spotkać pana rejenta, przypadkiem na popasie w drodze. Dowiedział się o moim nazwisku, a że znał mojego ojca, przyszedł zaraz poznać się i za mną.

Było to jesienią późną i w porze najnieprzyjemniejszej: słotnej, zimnej. Mały, ruchawy niezmiernie, z twarzą nieustannie się wykrzywającą, wyrazistą, nie piękną, ale uderzającą oryginalnymi rysami, rejent miał na sobie lisiurkę wytartą, około szyi okręcony szal stary i spłowiały, na nogach berlacze osobliwych kształtów...

Zaczawszy od zapytań:

— Co kawaler tu porabia, w tym kącie zapadłym; dokąd i z czem jedzie; czy ma co do przekazania i nie jest głodny? i t. p. — rejent, jak siadł na ławce i począł opowiadać, badać, śmiać się, prawić anegdotki, przebałakał tak cały czas aż do zaprzężenia moich koni, poświęciwszy swoje, które oddawna na niego czekały.

Zastanowiło mnie w rozmowie z nim, że wszystkich znał, a o czemkolwiek mówić przyszło, ze wszystkim był oświadczony, nic mu nie było obcem, obchodziło go wszystko.

Wiadomości najprzeróżniejsze sięgały nawet aż do literatury, której nowości znał; choć kilka słów francuskich, straszliwie wymówionych, wprawy w języku tym nie dowodziły, rozumiał go dobrze.

Musiał mieć naówczas z górą lat pięćdziesiąt, ale żywość miał prawdziwą młodzieńczą, dziarskość dwudziestokilkoletniego chłopaka i, choć okutany, poobwijany od zimna i wilgoci, kręcił się, jakby mu zimno zawadzało.

Króciuchna ta znajomość, na gościńcu zawarta, gdym o niej ojcu, powróciwszy do domu, wspomniał, wywołała wesoły wykrzyknik:

— Poczciwe rejencisko! a, prawda, że oryginał?

Ja niewiele o tej oryginalności mogłem sądzić, ale ojciec, który znał go zdawna, utrzymywał, że to była istota wyjątkowa.

¹*prosapia* — pochodzenie, ród (łac.). [przypis autorski]

²*ekscerpt* — wyciąg. [przypis autorski]

Na imieninach u państwa W..., wśród bardzo licznego zjazdu, po raz wtóry zetknąłem się z nieoszacowanym rejentem. Wyglądał wcale inaczej, miał bowiem naówczas używany frak granatowy z guzikami błyszczącymi, kamizelkę kaszmirową, chustkę na ducze niebieską, popielate spodnie, a włosy najdziwniej do góry nastrzępione, które nieustannie rękoma rozstrząsał i znowu wygładzał.

Wszyscy go witali wesoło i uprzejmie, zdawał się miłym wszędzie, a czynnym był i osobą, i mową tak, że na chwilę nie spoczywał. Jego szybką, ale dobitną mowę i śmiech klarowny, jasny, czysty, bez zółci, słyhać było z kolei po wszystkich kątach domu.

Niekiedy powoływano się na niego, i słyhać było:

— Rejencie! rejencie!

Wezwany nadbiegał, i kupka ludzi gromadziła się zaraz koło niego, której gwar wesoły towarzystwo ożywiało.

Nie zawsze przebywając w tych stronach, nie miałem tu wielu znajomych, oprócz trochę dzikiego, bardzo czasem dziwaczego, ale nie bez dowcipu i złośliwości pana B. z Czachca.

Ten zwykle w towarzystwie był, jak korek w wodzie, sływał po wierzchu, nie zanurzając się, obserwował, a czasem słówkiem rzucił ostrem i okrutnie bolesnem, choć tak ogładzonym, że trzeba je było przelknąć w milczeniu.

Tego dnia, dzikszy może, niż zazwyczaj, p. B., nie mając kogo, trącał mnie łokciem i bawił się rejentem, który mu się wydawał śmiesznym.

— Czy pan pierwszy raz dziś spotykasz tego nieoszacowanego Wątróbkę? — zapytał mnie potem, szczególnie dnia tego będąc usposobionym, bo zwykle nie lubił mówić; wołał słyhać i śmiać się.

— Tak dobrze, jak pierwszy raz — odpowiedziałem — bo raz tylko spotkaliśmy się na gościńcu.

Pan B. począł się śmiać z tym wyrazem satyra, który mu był właściwy; ciągnął dalej po francusku, bo ten język był mu najmiłszym:

— Ale to unikat! Zapytaj go pan, co robi cesarz chiński i jak stoi sprawa w komisji radziwiłłowskiej i co się dzieje w parlamencie angielskim i kto wygra proces o grunta w Połonnym Hrodzie, ręczę, że z równą dokładnością potrafi wszystko objaśnić. Ale toby jeszcze było niczem, gdyby zarówno do wszystkiego nie chciał się mieszać.

Spojrzał na mnie pan B. Słyhałem z uwagą, postrzegł się, że już zawiele, jak na siebie, powiedział, ściągnął więc usta, wedle swego zwyczaju, w rodzaj ryjka i zamilkł.

Ciekawość moja była tak rozbudzona, że, nie mając wśród tych imienin nic lepszego do roboty, nieznacznie chodziłem w ślad za Wątróbką i niedyskretnie się przysłuchiwałem.

Charakterystyka pana B. okazała się trafną, gdyż wistocie Wątróbka był niezmiernie oświadczeni i żywo zajmował się najmniejszego z sobą związku nie mającymi osobami i okolicznościami.

Z mowy jego wnosić mogłem, że nie wzywany, ale sam z własnej woli mieszał się tak czynnie do wszystkiego. Z kilku napomknien widać było, że nie zawsze nawet bezkarnie mu to uchodziło, ale nic go nie zrażało.

Przy stole traf mnie posadził obok pana B., który był milczący tak, że na parę pytań moich nie odpowiedział wcale. Raz tylko, jakby mimowolnie rzucił mi w ucho, patrząc na Wątróbkę:

— Don Kiszot!

*

Jakoś w kilka tygodni po tych imieninach, trafił się wypadek w sąsiedztwie, w domu ze wszech miar poszanowania godnym, w rodzinie nie mającej, ale zacnej. Przyjęty do chłopców nauczyciel rozkochał w sobie jedną z córek państwa X. i wykradł ją. Ojciec wyparł się dziecięcia; nic go nie mogło prześlagać.

Zrobiło to wrażenie ogromne, bo wszystkim i rodziców i tej biednej panienki wielce żał było.

Jeszcze się tem zajmowano, gdy jednego dnia zajechał do nas rejent Wątróbka.

Ojciec go otwartemi przyjął rękoma, rad niezmiernie i miłemu gościowi i może w nadziei, że po południu wraz z komornikiem, wezwanym z Bogusławców, zaprosi go do wista po trzy grosze.

Ale z Wątróbką ani było mówić można o czem innym, oprócz awantury owej w sąsiedztwie, dla której, jak się okazało, przybył do nas naumyślnie.

Główną kwaterę założywszy u nas, miał stąd czynić wyprawy do L., aby ojca przebłagać, a córce i uwodzicielowi wyjednać przebaczenie.

Tej ciężkiej roli pośrednika dobrowolnie się podjął, a gotował się do niej z taką gorączką, jakby ona mu do serca przyrosła i obchodziła najbliższe pokrewne osoby. Rejent pannę raz w życiu widział, nieszczęśliwego zaś gubernera ani razu.

— Kochany rejencie — odezwał się zaraz w początku mój ojciec — jest to sprawa tak delikatnej natury, bolesna, że obcemu się do niej mieszać niepodobna. Tylko czas ułagodzi słuszny żal.

— A tymczasem oni z głodu poumierają! — zawołał rejent. — Sprawa delikatna, tak, drażliwa niewątpliwie, dlatego właśnie powinien się każdy starać dopomódz, aby się to szczęśliwie skończyło. Byłem już w Kobryniu, gdzie oni we dwoje u Żyda na komornem siedzą, i zląkałem tego chłystka. Splakałem się nad panienką, a teraz jadę... i, choćby plackiem przyszło paść do nóg... padnę, ale muszę gniew zażegnać.

— A mnie się zdaje — rzekł ojciec — bogdajbys nie podrażnił gorzej jeszcze! Daj teraz pokój, czekaj!

— Ale nie mogę! — wykrzyknął rejent — obowiązek sumienia.

Ojciec chciał zmienić rozmowę, nie było sposobu: Wątróbka, przejęty, poruszony, ciągle powracał do swego.

Należy dodać, że naszego sąsiada X. znał bardzo mało, stosunków z nim nie miał żadnych; przewidzieć więc było łatwo, iż jego wmieszanie się źle zostanie przyjęte.

Wiedzieliśmy, iż pan X., do najwyższego stopnia zrozpaczony postępkami córki, wpa-
dał prawie we wściekłość, gdy się nawet matka ośmielała wstawiać za córką.

Wszystko to Wątróbkę, zamiast zrażać, podniecało jeszcze i zachęcało.

Do wista nie dał się nakłonić; po obiedzie zaraz pojechał do L., zabawił krótko i powrócił o mroku.

Ojciec, swym zwyczajem, siedział z fajką na baryerze przed domkiem, gdy rejent się zjawił.

— A cóż? — zapytał.

— No, nic, ale zrobiłem początek.

— Jakież?

— Wypchnął mię za drzwi, powiadając, abym nosa nie wścibiał, gdzie nie należy — rzekł rejent spokojnie i tylko włosy ręką zochrał i następnie gładził. — Na dziś dosyć, jutro rekapituluję... Pan chorąży mnie nie wypędzisz? Przenocuję gdziekolwiekbądź.

— Nocuj i siedź, póki tylko chcesz — odparł ojciec — admiruję twe poświęcenie się, ale ci przepowiadam, że przykrość mieć będziesz, a nic nie wskórasz... Znam jego, jest zacięty, niełatwo go zmiękczyć.

— Ale próbować należy — odparł rejent — to darmo! Żeby z tego powodu córki się wypierać i wydzedziczać i nie dać się jej na oczy pokazywać... to się nie godzi! Serce mieć potrzeba. W pierwszej chwili pojmuję oburzenie, uniesienie, ale teraz czas ochłonać.

Rejent pozostał na noc, nazajutrz znowu pojechał do rozgniewanego ojca, który schował się przed nim. Rejent siedział i czekał do wieczora o głodzie i powrócił z niczem do nas. Ruszył po raz trzeci, i skończyło się na tem, że u zamkniętych wrót pan X... kijem mu zagroził.

Wątróbka wrócił, skonfundowany wprawdzie niepowodzeniem, ale bynajmniej nie zrażony... Uznał tylko, że potrzeba było ojcu więcej dać czasu na wyburzenie się całkowite. Pożegnał więc nas i odjechał.

Dowiedzieliśmy się później, iż wygnanym onym młodemu państwu dał naprzód schronienie u siebie, a potem póty pracował, biegał i prosił, aż byłemu gubernierowi wynalazł zajęcie.

Ale ponowione próby przebłagania ojca zupełnie mu się nie powiodły.

Ten jeden wypadek dał mi wyobrażenie o rejencie. Był ubogi, a niezamożność swą zawdzięczał tylko temu mieszanu się do spraw cudzych. Śmiano się z niego, wstrzymywano go, ale natura jego była taka, więc nic nie pomagało. Zaledwie zasłyszał o czemś, zrywał się i szedł złapać guza.

Naówczas, gdy go poznał, był wdowcem bezdzietnym, ale historia jego ożenienia należała także do ekscentrycznych wybryków. Dlaczego nigdy nikt nie uznał w nim heroizmu i bezprzykładnego poświęcenia się, a wszyscy się z niego naśmiewali? nie wiemy; dlaczego ci nawet, którym służył z takim zaparciem się siebie, nie okazywali mu wdzięczności, rzecz niepojęta.

Pan B. z Czachca zwał go Don Kiszotem i miał po części słuszność; obok heroizmu była śmieszna ta jawność, jaką mimowoli nadawał swoim uczynkom. Śmieszność zaś nawet cnotę na tym padole zabija.

Rejent ożenił się był, jak mi później opowiadano, po roku 1831. Tę, która miała być jego żoną, poznał przypadkiem w domu, w którym jej czasowo dano przytułek. Była to osoba nadzwyczajnej piękności, świetnego wychowania, ale sentymentalizmu chorobliwego i egzaltacji nadzwyczajnej. Mieszkając u majątnych krewnych, czasu pewnego poznała pięknego sąsiada, który się w niej zakochał i w którym też ona się rozmiłowała. Nastąpiły zaręczyny, ale nie było czasu na wesele: narzeczony, rozchorowawszy się nagle, umarł po kilku dniach męczarni.

Rozpacz narzeczonej dochodziła do szaleństwa; musiano ją gwałtem oderwać od zwłok, a że bogatsi krewni, u których się wychowywała, już nie chcieli być jej dobrodziejami, wzięli ją biedniejsi.

Od nich dowiedział się Wątróbka o historii panny Waleryi, ulitował się nad biedactwem i postanowił ożenić się z nią. W chwili uniesienia, nie obrachowując następstw, nie zastanawiając się nad przeszłością, Wątróbka oświadczył, że gotów jest, chociaż nie kochany i nie kochający, iść z sierotą do ołtarza.

Nie widział jej nigdy w życiu, gdy to postanowienie uczynił. Nikt naówczas nie śmiał go odwozić od poświęcenia, które istotnie pięknem było i szlachetnem.

Krewni pochwycili go za słowo, sierota zezwoliła na ślub z człowiekiem zupełnie obcym.

Przy bardzo szczupłej fortunce Wątróbki, ożenienie to musiało pociągnąć za sobą najopłakawsze następstwa. Nieszczęśliwa Walerya była i wychowaniem i losem swym do najwyższego stopnia rozdrażnioną, niecierpliwą, w poźyciu nieznośną. Czowała swą wyższość jakąś nad biednym człowiekiem, który się dla niej poświęcił, i obchodziła się z nim w sposób nieznośny. Wymagająca, wiecznie skarżąca się, dumna, zatrula życie rejentowi i w dodatku, bez względu na jego położenie, wydatkami bez rachuby, zrujnowała go.

Wątróbka z cierpliwością anielską znosił swe męczeństwo. Szczęściem, trwało ono niedługo, gdyż biedna kobieta, wydając na świat syna, który żył tylko godzin kilka, sama po nim wkrótce umarła.

Można było powiedzieć, że się niebo nad poczciwym, ale nieopatrzny człowiekiem zlitowało.

Nigdy najmniejsza skarga nie wyrwała się z ust jego. Pamięć okrutnej żony szanował i wystawił jej wspaniałą nagrobek.

To ożenienie było może najheroiczniejszym ze wszystkich czynów poczciwego rejenta, innych pomniejszych zliczyć niepodobna. Nie gardził bowiem najdrobniejszą okazyjką uczynienia komuś przysługi.

A ludzie śmiali się z niego!

Nikt nie ocenił człowieka, któremu tylko przydomek „wścińskiego” narzucano, i ten mu do śmierci pozostał.

Śmierć w opuszczeniu była logicznym zamknięciem długiego, powolnego, dobrowolnego męczeństwa.

W ostatnich czasach podupadł majątkowo do tego stopnia, iż się już zaledwie na dzierżawie kilku chat mógł utrzymać. Nakoniec dziedzic, nie odebrawszy tenuty, wygnął go z dzierżawy. Rejent z resztkami rupieci i starą, kulawą gospodynią, której sam więcej, niż ona jemu, służył, wyniósł się do małej miejsciny, na komorne do Żyda.

Z czego i jak żył, to było nierozwikłanem zadaniem; wiadano tylko, że potrzebował bardzo mało.

Posługiwali się nim szczególnie Żydzi do pisania próśb i układania dokumentów, które wedle formy stylizował. Jeden z Żydów, którzy go najwięcej wyzyskiwali, w najniepocziwszy sposób wciągnął go w jakąś szalbierską spółkę i, sam uciekły zagranicę, rejenta, jako spółnika, podał w podejrzenie. Biednego Wątróbkę wsadzono do więzienia.

Ktoby sądził, że mu to wielką boleść sprawiło, myliłby się wielce.

Zapominając o sobie, Wątróbka znalazł tu biedniejszych od siebie, bo potrzebujących pociechy i moralnego sprostowania. Nawracał więc ludzi, którzy tak samo się z niego śmiali tu, jak wprzód, gdy był w lepszym bycie, jego znajomi i przyjaciele.

Żywa dusza nie ujęła się za niewinnego, który lat dwa pozostał pod kluczem, nim go dla braku dowodów wypuszczono.

Z węzłem resztki łachmanów, których w więzieniu nie porozdawał, znalazł się jednego rana stary, złamany, ale pogodnego oblicza rejent na ulicy, wcale nie wiedząc, ani dokąd się uda, ani co jeść będzie.

Zdawało mu się nadzwyczaj prostem, że każdy, do kogo zapuka, da mu przytułek.

Okazało się jednak, że nikt go znać nie chciał.

Aby mieć wyobrażenie o nikczemności człowieka, potrzeba w nieszczęściu tylko żądać pomocy.

Psy, gdy widzą, że jednego z nich gryzą inne i że napadnięty skomli z bólu, mają zwyczaj rzucić się na niego i dogryzają ofiarę.

Coś podobnego czynią ludzie; nieszczęście, zamiast obudzić litość, niecierpliwi ich i gniewa.

Faktem jest, że Wątróbka, idąc pieszo w mróz od jednego przyjaciela, który mu drzwi zamknął przed nosem, do drugiego, któryby był niechybnie toż samo uczynił, siadłszy pod krzyżem, zasnął, i we śnie śmierć litościwa uniosła duszę jego do nieba...

Pozostało po nim wspomnienie... dziwaka. Ludzie tak dalece go nie mogli zrozumieć, iż się aż do obłąkania uciekali, aby sobie wytłómaczyć tę namiętną ofiarność.

Wszystkim o nim anegdótkom, najsmutniejszym nawet, nadano koloryt komiczny, i w czapce błazeńskiej z dzwonekami odszedł zacny człowiek z tego świata, który go zrozumieć nie umiał.

Pochowano go z urzędu, jako włóczęgę, w jakimś wspólnym dole.

I jest mu w nim najlepiej!

1886.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rejent-watrobka>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Profesor Milczek, Rejent Wątróbka, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0454-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.